

TYGODNIK WILEŃSKI

N^{er} 82.

Dnia 10 Czerwca 1817 roku. v. s.

SZCZĘŚLIWE MAŁŻENSTWO

POWIEŚĆ FILOZOFICZNA

Z WEYSSA.

STADŁO Zbysława i Izabeli bez wątpienia wyższego nad pospolity tor rzeczy ludzkich rodzaju, wzorem z wielu względów być może. Skłonność i rozum stanowiły wybor. Burzliwe uniesienia młodości, postawiły już były Zbysława u kresu dóyrzałego wieku z doświadczeniem pewnym i prawdziwie mężką tych lat cechą. Wyszedł już z pierwszego omamienia młodości, blask go nie łudził, skłonności doskonalsze wiodły go do prostoty, a serce czule do miłości. Poczciwość jego wzdrygała się uwodzeniem, szlachetna pycha nadskakiwaniem płochém i delikatność rozwiązłością. Uznał ustanowienia się porę; ale szukał bardziéy towarzyszki niż kochanki. Izabela w oczach jego łączyła to oboje. Nie była zape-

wna tém jeszcze, czém bydź obiecywała, ale już wszystkie naypiękniejsze do tego posiadała przygotowania.

Skłonność jéy do Zbysława nie rozwinęta, ale szacunek był dlań zapewnionym: posiadała zadość słodczy, dobroci i rozsądku, aby go uczuć mogła dostatecznie. Dosyc na tém było: reszta jego bydź miała dziełem. Ofiarował siebie bez namiętności, bez oporu był przyjętym, ukrywał w części swą czułość, a bardziéy jéy postępkami niż słowy dowodził. Nigdy się náyżywsze jego starania próżnością i zbyteczném nie znamionowały uniżaniem. Była to przyjaźń, żądze, względy, nie zaś podległość. Nadał sobie zaraz z początku ten ton, jaki miał późniéy utrzymywać, i łączyć moc charakteru z przystoyną obyczáynością, jedno drugiem przyozdabiał.

Zbytnie upodlona grzeczność pochlebiać zaiste może próżności kobiety, ale prędzéy czy późniéy pogardza ona nie szlachetnym mężczyzną. Czuje pomimo siebie wyższość opiekującéy się płci sobą, lubi wynaydować powody i w tém się przekonywać. Jeżeli panuje, stan jéy, jest stanem niepewności i niespokoyności ustawicznéy: i owszém, cóż dla żony przyjemniéyszego jak człowiek, który jest wiecznie z nią powiązany, ten jéy poradą! wsparciem! ten obrońcą! ten jéy przewodnikiem!

Jak większa część młodzieży, i Izabela zrazu była prózną, nie przewidującą, płochą i nieznającą tego do siebie. Bardziéy lotnégo dowcipu, niż roztropna, więcéy przyjemna niż gruntowna, myśląca mało i wiele czująca, niżli rozwągą bardziéy powodowana skłonnością, humorami, przykładém, lub modą, z doświadczeniem z romansów tylko czerpaném, sądząca o świecie wedle uniesień żywéy iinaginacyi, lub wedle fałszywégo, a tylko zwyczajnégo dla płci uszanowania; umiała z gustém rozpoznać dowcipné zdanie lub żart subtelny, myśl zaś mocna, nieme tylko na niéy wrażenie czyniła. Zamiary czysté, ale do uskutecznienia onych, potrzebnych światel i mocy umysłu brakowało. Niesposobna do przyymowania ciągłych wrażeń, a mniéy jeszcze do odważnego przedsięwzięcia, lub do ścisłego zamiarów wykonywania.

Staraniem Zbysława, było rozwiniénié jéy poymowania. Bez bakalarstwa, został razém nauczycielém, przyjacielém i kochankiem. W każdym dniu jedna lub dwie godziny czasu, poświęcone były nauce, którém z ręcznie wyrywać potrafił ciérnie, same jéy tylko podając kwiaty. Nie w celu, żeby uczoną została, lecz by umiała cenić umiejętność i światła, i bardziéy je w mężu szacować. Nie broniąc własnych jéy rozkoszy, jéy próżnym igraszkom dawał nieznacznie użyteczny kierunek. Do

wdzięków wesołości, przydawał gruntowne czasem uwagi, zajmujące zdania, oswajał ją z wielkimi prawdami zasadami, które powiązują ściśle wyobrażenia, prostują rozsądek, i dają widzieć przedmioty złej strony, z jakiej uważaniami być powinny. Rozmowy ich, wkrótce tak przyjemnie urozmaiconymi zostały, jak i obszérne ludzkich wiadomości przestrzeni. Często nie przewidziane zdarzenie, często osobliwszy obyczaj, dawał powód do zbliżenia razem zwyczajów mnogich ludów, odległych wieków, i uchylenia zasłony przesądów. Przechadzka wprowadzała ją w tajemnice przyrodzenia: widziała wprzód skutki, teraz dziwne odkryła przyczyny: każdy krok nowe jéy osobliwości ukazał. Piękny wieczor przenosił jéy umysł w nadziemne przestrzenie; za pomocą swego przewodnika, rozoznawali świetne charaktery zawieszone w przestrzeniach nieskończonności, któremi bytu swojego dowody wyrył przedwieczny Nowy się świat oczom jéy ukazał, ustalił się rozum, serce rozwinęło swe władze; rozrywki jéy wytworniejszemi i szlachetniejszemi chęci się stały: obowiązki zamieniły się w roskosze; każde uderzenie serca, było wzruszeniem dobroczynności. Poznała wkrótce na swoich towarzyszkach jak górny jest wpływ światła: a ono skromniejszą jeszcze i przyjemniejszą ją czyniło: potrafiła rozpoznać

modnego głupca od człeka rozsądnego, dowcip fałszywy od prawdziwego i słabą duszę od mocnej i wytrwałej. Nie wzgardzając płcią swoją, naszej pierwszeństwo dała. Przyjaciele męża, byli jej przyjaciółmi, ich sposób myślenia i uważania rzeczy ukształcił jej zdanie. Jakaż mocniejsza zasada trwałego połączenia się? Zbislaw posiadał jeszcze nie oszacowany przymiot: nigdy mnię nadeń mężczyzna nie wyciągał od kobiety. Nadto je znał, gdyby od nich wiele chciał żądać. Ten sposób prowadził za sobą pobłażanie, a to pokój domowy. To tylko zaiste nagradzać kobiecie może podżyłość jej męża. — Młodzieniec bez doświadczenia, wyobraża sobie kobietę, jak rodzaj jakiegoś bóstwa, sądzi ją być połączeniem cnot i wdzięków. Tego jednak nie czyni przyrodzenie. Gdy już go uniesienie piérwiastkowego posiadania opuści, nie poymuje jakim sposobem nie znalazł rzeczywiście tego co mu zapalona imaginacya malowała; i gdyby nawet, kobieta ta była z płci swojej naydoskonalszą, mniema, że z drugą byłby szczęśliwszy, złorzeczy kryjomo wyborowi, w ten czas kiedy to zbyt kowi bardziéj swoich wyobrażeń, przypisować winien.

Zbislaw nie zaprzestał dotąd, pięknych około swego przedmiotu usiłowań. Po tylu latach małżeńskiego życia, jeszcze mu mnóstwo nieznaných pozostaje do oczekiwania

ślodyczy: lecz one nie są wyszukanemi. Idzie tu o to, aby cel starań i miłości jego, przymusił siebie do pozbycia się jakiegóś wady, lub nowego nabył talentu, lub w jakiegóś wygórował cnocie, alboliteż na jakiś wspaniały czyn zezwolił. Nigdy kochanek który chce uwieśdź ubóstwiony przedmiot, nie jest tyle w podobaniu się baczny, ile Zbislaw dla téy, którą chce udoskonalić. Po wzajemnych względach i uprzyméy grzeczności, obcy nie łącno by się domyślił lubego związku, co ich łączy. Są bez przysady jeden dla drugiego w okazaniu tego co naybardziéy lubią i cenią: w oczach ludzi umieją dać wzajemnie, nie przesadzone dowody szacunku i przywiązania, które nie będąc dostrzegalnemi prawie, tém się przyjemniéy czują i miłéy pochlebiają. Wzajemna obecność jest naypoważniéyszym dla nich świadkiem, którego obawa nagany, oddala ich słabości; a nadzieja pochwały do dobrego zachęca. Jakiś wspaniały postępek jest zawsze rękoymią małego pojednania się, tak jak hołdem wdzięczności za szczęście którego używają.

Lecz jakożkolwiek człowiek doskonałym bydź może znajdą się błędy i zapomnienia chwile: nie były one jednak nigdy takiemi, iżby jedno od drugiego czégóś nie podobnego wyciągać mogło: zawsze są gotowi znieść wszystko dla siebie i wzajemnie

przebaczyć. W czasie najwyższych ich poróżnień nikt złego humoru dostrzedz nie potrafił. Cóż bowiem obcy wspólnego z małżeńską mieć mogą kłótnią? Z taką się wnet jednają spokojnością, jakoby się nie nie przytrafiło zgoła. Pokóy następuje bez wymówek. Łatwy ten sposób daje myśleć obóygu iż swe błędy uznali, że sobie przebaczą wzajem: i to się zawsze szczęśliwie udało. Kłótnie bez urazy, a rzadziéy jeszcze, zdarzyły się przymówki. Cóżby bowiem na tém, prócz dotkliwszego siebie rozjątrzenia zyskać mogli? Milczenie jéy, było dlań obelgą, słodycz jéy bronią, a wyrzutem dobré postępk. Czasem tylko zmartwienie, ale nigdy gniewu: piérwsze bowiem z uczucia, drugie z dumy pochodzi. Unikając ostateczności grzeczność jéy nie miała na sobie, ani bojaźni, ani próżności, ani niewolnictwa znamion. Nie pochlebia niczyjéy miłości własnéy kto się bardzo uniża, i owszém pogardę wznieca, kto swéy nie umie godności utrzymać.

Zbislław nie mniéy jak i Izabela na tém zyskali postępowaniu. Jéy spokojna słodycz, jéy żywość i wesołość miarkuje ton jego poważny, jéy wdzięki uprzyjemniają rozum jego, popędliwość jégo wstrzymuje jéy słabość, a rostopność jest skutkiem ich obcowania. Ona go przyjemniéyszym, on ją czyni szacowniéyszą, on dla niey sprawuje poważenie, ona dlań miłość wszyst-

kich, ona mu troski osładza, on wznosi jéy uczucia. Na łonie przyjaźni czułéy on znáyduje ulgę, i ona się rokosznie jego mocy, światłu, męztwu i powszechnemu dlań uważeniu powierza. Swóy sposób myślenia zgadza z jego przestrogami; wie, że i on pobłądzić może, rzadziéy jednak pobłądzić z niedostatku doświadczenia. ” *Niech Bóg zeń odbierze rachunek; naśladowałam tego, jakiego mi, Panie, dałeś przewodnika.* ”

(Ciąg dalszy późniéy).

OBSERWACYA.

Kiedy współrodacy gorliwi o dobro publiczné nie ustawają w chęci czynienia odkryć tyczących się rozmaitych gałęzi nauk i przynoszących tak wiele korzyści panóm, jurystóm, ludzióm w interesach, pseudo-hrabikóm &c, przenieść tego na sobie nie mogę, abym, zaciekając się nad tworamí natury, nie podał do wiadomości powszechnéy co następuje. Przypatrując się owadóm i dziwiąc się ich cudownéy przemianie, wpadł mi nagle pod oko owad zwany *Pochlébstwo*, którego opisanie ile możności z obserwacyi wyciągniéte podaję. Liszka jego zawsze pełza nisko, ociéra się o stopy drzew i roślin, przylega ściśle do ich fibr aż do natręctwa, kiedy niekiedy podnosi głowę nader małą do góry, pałając żądzą wypelza-

nia na wierzch. Kolor jéy brudny , lecz w swém czolganii się rysy piękne i przyjemné na roślinie zostawuje. Postrzedz można , iż roślina otoczona témi liszkami jest buyná na pozór , pięknie się rozkwita , kolory kwiatów , wesołość ! i ukontentowanie pokazuje , iż u nóg jéy pełzają istotki nędzne , ogołocone od przyrodzenia ze wszystkich darów przedwiecznego Stwórcy i potrzebujące pomocy słabéy nawet roślinki. Lecz niestety! nie długo trwa tak pochlébne o sobie rozumienie. Z porą roku przemienia się liszka w poczwarkę zwaną *własny interes*. Uwija sobie budowę na zimę z soków pożywnych téy rośliny , tyje mocno , zbyt żarłoczną się staje , tamuje przystęp owadóm wartym opieki. W ówczas roślina kwiaty swe skupia , liście więdniję , zgoła cała postać okazuje smutek i żal , że na pozór tak nędzna i mało znacząca liszka , tyle soków z wnętrzości jéy wyssała na utworzenie potworu każącego roślinę. Lecz pozbycie się tego ciężaru nie jest już w jéy mocy. Z zimy na wiosnę poczwarka zrzuca swe dawné pokrycie , i przybięra na się postać ubarwioną kosztem rośliny tysięcznémi farbami piękniészemi od swéy karmicielki. W ten czas jest motylem pod nazwiskiem *Podłość*. Uzbrojony skrzydłami wlatuje na szczyt rośliny , z niego na inne kwiaty , patrząc pogardzającym okiem na źródło swego powstania. Po téy ostatniéy

przemianie, roślina przychodzi do siebie, czuje jakąś ulgę, i uczy się z doświadczenia, iż nie zawsze liszkóm wierzyć należy. Żyje ten owad w krajach ciepłych i zimnych. W ogrodach wielkich panów nayobfitszy. A nawet powiedzieć można, iż rzadki jest pan, urzędnik, uczony, ekonóm, pisarz i t. d. u którego by się choć w jednym wazonie to przebrzydłe stworzenie niegniędzilo.

Verbaveritatis.

M E T R O M A N I J A.

c z y l i

ZAPAL DO WIERSZÓW, KOMEDIA ALEXEGO PIRONA
(Tłómaczenie SSS. wyjątków ciąg dalszy)

AKTU II. SCENA I.

S T A R O S T A. P A N P O D S E D E K.

P. P O D S E D E K.

Szczęśliwys! rad to widzę; i czerstwy i zdrowy.

Wesól, żywy, uprzéymy, słowem jednákowy.

S T A R O S T A.

Ztąd to, że niespodziáná zdárzá mi cię chwila:

Nigdy szczęśliwy jeszcze nie byłem dotyla.

Uciśniemy się proszę. Héy! niech znowu liczę

Lubé dawnięjszý naszý przyjázni słodycze!

Jużeśmy się nie teraz z sobą nie widzieli:

Parki djable fatalnéy nadprzędly kądzieli,

Przeszły lata nie widząc; i obu pospołu
Wiek lica już poradził, i nagiął do dołu.
Nic nám jednak wybornych skłonności nie zmieni;
Ja, skaczę, piję, kocham choć w późnéj jesieni.
Uczéni wszyscy u mnie bywają rodacy,
Dom i stół mój otwarty dla wielkich pisarzy,
Nawet sam piszę wiérse.

P. PODSEDEK. (*do siebie*)

Co się jemu marzy!

S T A R O S T A.

Tak jak oni.

P. PODSEDEK.

Jak oni?

S T A R O S T A.

'Tak! tylko bez pracy.

Przetoż mię tuzinkowým ich pisma nazwały;
Lecz na złość im, co miesiąc, drwiąc sobie z ich krzy-
ku,
W warszawskich pamiętnikách, w wileńskim dzien-
niku,

Muza má ciszkiém liczne odbiérá pochwały.

P. PODSEDEK.

Jak to.

S T A R O S T A.

Imienia jednéj, do mojej intrygi,
Młodziuchnéj podolanki używszy szczęśliwie,
Bawię dowcipnym wiérszem, podobam się dziwić;
Skrzypią w cały Warszawie pióra na wyscigi
A tak, maska kobiéca gdy wszystkich weseli,
Z tych co ze mnie szydzili, robi wiélbiciéli.

P. P O D S E Ą D E K (na stronie).

Biędny! w głowie się jemu pomieszały szyki,
Zgłupiał zupełnie.

S T A R O S T A.

WPan czytasz Pamiętniki?

P P O D S E Ą D E K.

Nigdy.

S T A R O S T A.

Tém gorzėy! szkoda! ach! co za niesława!

Nie czytać, na co miesiąc sili się Warszawa.
Musisz kupić choć numer przeszłego miesiąca;
Znaydziesz tam, czemu całe oklask daje miasto.
Jak jednégo mozgownia głupca zbyt gorąca,
Już mię nawet nazywa Mużą jedénastą.
Wielbi we mnie nadobną kobietę z zapalém;
Ja słodko tryoletém mu odpowiedziałém.
Głowy talentem moim zawracam szalenie,
Nie prawdaż, że to warté zabawy zdarzénie?

P. P O D S E Ą D E K.

Alé ja ci takiego nie chwalcę zamiaru,
Do czego ci natura odmówiła daru.
WPan poetą? WPan? dawnoż?

S T A R O S T A.

Ja sam, mówię.

Daty tégo dokładnie ci nie ustanowię.
Wiém tylko, iż przy winie jednym jakoś razém,
Jak balon, na powiętrze, wzleciałém z Pegazem.
I odtąd więrsze ciągle już składać zacząłém,
Wiék się mieni, a z wiekiém i stosunki społém.

Z stosunkami skłonności, skłonności zaś te więcę
Choć i w piątym krzyżyku, wskrzeszą Mużę górną,
Zrobiłem i dziś gramy sztukę przewyborną;
Ma ona tytuł "Panna ni w pięć ani w dziewięć",
Cudownie śmieszność wady wytkniętą zostanie.
Nie mogłeś bardziéy w porę przybydź tu Mospanie.

P. P O D S Ę D E K.

Serce srodze domowe zgryzoty przebodły.
Inne mię tu zamiary do ciebie przywiodły.

S T A R O S T A.

Cóż tam?

P. P O D S Ę D E K.

Synowiec mego niegodzien imienia,
Przez rozpustne swe życie, celem jest zmartwienia:
Sliczny na pozór chłopiec, nie w ciemie go bito,
Edukacją przezemnię powziął należytą;
Chłopiec wielkich nadziei, i w mojej osobie;
Serce prawdziwie Oycza czulego miał sobie.
Jego się losem zająć żądałem jedynie:
Lecz co się krzywe zrodzi, to krzywe i zginie.
Prawa, co jest potrzebném koniecznie w tym czasie,
Pięć się lat przy wąsatym uczy Mecenasię,
Przybywam, i wyrazić żalu nie potrafię:
Nie wie, co jest w Kodexu piérszym paragrafie,
Zadłużył się; processu nie zna ani kęsa,
Bóg wie nawet i teraz kędy się wałęsa.
Czy niemożnaby przeto, z czyją tu pomocą,
Uzyskać dobry bilet, dziś jeszcze przed nocą,
Ażebym wsparty urzędową władzą,
Tam go przecie osadził, gdzie szaleć nie dadzą.

Nie znając tu nikogo prócz ciebie.

S T A R O S T A.

Wybornie.

Ja ci bilet wyrobię.

P. P O D S E D E K.

Dziękując pokornie.

S T A R O S T A.

Ale przyjaźń za przyjaźń.

P. P O D S E D E K.

Wszystko zrobię dla cię.

S T A R O S T A.

Rolę Oycy w méy sztuce weźmiesz, Panie bracie,

P. P O D S E D E K.

Rolę! ja?

S T A R O S T A.

Waszeć Jeśpan.

P. P O D S E D E K.

Stroisz ze mnie żarty.

S T A R O S T A.

I wiék się z rolą zgadza, nie bądź więc uparty.

Chyba nie chcesz żebym ci pomagał.

P. P O D S E D E K.

Broń Boże!

Ależ przecie.

S T A R O S T A.

I postać potemu.

P. P O D S E D E K.

Bydź może.

S T A R O S T A.

Humor gdyracza.

P. P O D S E D E K.

Prawda.

STAROSTA.

I takeś skrzywiony.

P. PODSEDEK.

Nic ztąd podobno nie mam do mojej obrony.

STAROSTA.

I rola nie jest trudna, więc usłuż w potrzebie.

P. PODSEDEK.

Lecz tego nie przewiodę.

STAROSTA.

Przymuś trocha siebie.

P. PODSEDEK.

Cóż powiedzą gdy takie uczynię szaleństwo!

Podsedek!

STAROSTA.

Cóż tam znaczy?

P. PODSEDEK.

Powaga!

STAROSTA.

Błazeństwo!

P. PODSEDEK.

Jednakże moja godność.....

STAROSTA.

Wszakżeś nieznajomy.

P. PODSEDEK.

Zgoda.....

STAROSTA. (*Wbijając mu rękę w rękę*).

Ucz się, i jednę nie ustąpię komy.

P. PODSEDEK.

Więc interes dla tego na boku zostawię...?

STAROSTA.

Byś będąc z przyjaciółmi pomógł ku zabawie.

P. P O D S E ǲ E D E K.

Widzę, że się od tego pono nie wykręcę.
Synowiec za to...

S T A R O S T A.

Masz w tém obie moje ręce.
Jutro go na Mostową pakujem ulicę, (a)
A jeżeli chcesz po jutrze i na szubienicę.

P. P O D S E ǲ E D E K.

Będę potem Panicza trzymał na łańcużku.
Ale gdzie go złapiemy?

S T A R O S T A.

Naturalnie w łożku.

P. P O D S E ǲ E D E K.

Prawda to: ale na noc, on doń nie powraca,
Nie wie i patron gdzie się pan uczeń obraca.

S T A R O S T A.

Dowiemy się wszystkiego gdy bilet dostaniem,
Z tém wszystkim, czas jest krótki, zaymiy się czy-
taniem.

P. P O D S E ǲ E D E K.

Sam jeden w té się uczyć zapuszczę gęstwiny,
Jak strach w zbożu machając, robiąc różne miny.
W saméy rzeczy to dosyc śmiesznie się złożyło.
(Ciąg dalszy późniéy).

(a) Dom poprawy w Warszawie leży przy Ulicy Mo-
stowéy.

Dozwala się drukować z warunkiem dostawienia do Komi-
zeta Cenzury siedmiu exemplarzy dla miéysc prawem wyznacz-
nych. Dnia 8 miesiąca Czerwca roku 1817.

August Becu/Prof. Ord. Czl. K. C.